

DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I.

— Poznań 10 maja, 1888 r. —

Nr. 14.

Prenumerata roczna wynosi 3 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w ekspedycji, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w ekspedycji, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko ekspedycja, lub redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

© pomniku dla Mickiewicza.

Sprawa pomnika dla Mickiewicza w Krakowie uwydatniła objawy godne do zanotowania, które poniekąd charakteryzują stan ducha w polskim narodzie. Jak wiadomo, młodzież uniwersytetu Jagiellońskiego podniosła myśl wystawienia pomnika największemu wieszczowi narodowemu w Krakowie, i z wytrwałością godną uznania zajęła się zbieraniem na ten cel funduszków. Dołączyli się doń następnie i starsi, uzbierawszy drugą połowę, tak, że się w kasie oszczędności znalazło razem przeszło 120 tysięcy guldenów.

Wytworzył się komitet do postawienia rzeźbionego pomnika trudnym dziś już do zrozumienia sposobem. Komitet ów, doznawszy różnych i to tylko w Krakowie możliwych przeobrażeń — przyczem naturalnie więcej szło o walkę stronnictw politycznych, niż o sam pomnik — przeprowadził cztery konkursy, które około 20 tysięcy guldenów pochłonęły, i ostatecznie jeszcze dziś nie można być pewnym końca tej sprawy, zważywszy ogólnie niezadowolenie z ostatniego wyniku.

Przyczyny niezgody między komitetem pomnikowym a opinią publiczną jedni dopatrują się w politycznych względach, t. j. w walce obozu postępowego z wstępnym, drudzy w antagonizmie prowincjonalnym, inni w zupełnie osobistych czynnikach, przyczem nasuwa się jeszcze jedna przyczyna owych sporów, a tą jest różnica pojęć o sztuce pięknej.

Ponieważ sprawa pomnika dla Mickiewicza toczy się w obrębie miasta Krakowa, więc, chociaż rzeźbiony komitet tutaj się uzupełniają osoby z innych dzielnic Polski o imionach wybitnych, to jednak służą one tylko za osłonę i ozdobę, bo stronnictwo to, z którego część zasiada w komitecie, jako rządowe, przyzwyczajone jest do lekceważenia opinii publicznej.

Tu też, w Krakowie, wytworzył się a re o p a g z n a w c ó w d o w s z y s t k i e g o, którym się zdaje, że cokolwiek oni uznają za dobre, jest niem rzeźwiście i którzy z ignorowania wszelkich zpoza ich grona wychodzących głosów chętną się, jakby z cnoty. Uznają się oni za jakieś przez Opatrzność zesłane z wyższych sfer istoty, których zwykli w Polsce śmiertelnicy pojąć nawet nie zdołają.

Gdy się im w ręce dostała sprawa pomnika Mickie-

wicza, która przecież w dziedzinie sztuki rzeźbiarskiej się mieści, z żelazną wytrwałością godną lepszej sprawy, nie przebierając w środkach, tak nią pokierowali, aby — Boże, broń — nie stało się zadość życzeniom narodowym. Zresztą wedle ich pojęć sztuka jest dla sztuki, a nie dla społeczeństwa, więc i pomnik nie może być innym, niż sięga ich wyobraźnia, spętana wpojonemi od dawna w siebie regułami sztuki. Ta u nich spoczywa jeszcze na gruncie klasycznym i nie ma nadziei, aby za swego życia innego w tej mierze światła się dopatrzili. Przez szkła owego niby klasycyzmu patrzeli oni na projekta modeli konkursowych, gdy opinia narodowa czego innego w tychże szukała.

Naród pragnie Mickiewiczowi wystawić pomnik niezwykły, coś takiego, coby uwidoczniało cześć, jaką żywi cała Polska dla swego wielbionego wieszca. Wodze tej fantazyi ukróca narodowi jedynie potrzeba liczenia się z funduszami, i dla tego, jeżeli ma do wyboru projekta, zawsze ten mu do przekonania najprędzej trafi, który uzmysłowia dzieła wieszca.

Wyrobił się bowiem w całej Europie pewien smak przy stawianiu pomników na placach publicznych dla mężów zasłużonych, który polega na danych prawidłach. Bohater stoi, lub siedzi na wierzchu postumentu, wokoło którego niżej mieści się mniej, lub więcej figur alegorycznych; wolne zaś ściany postumentu zajmują już to płaskorzeźby już też napisy, lub emblemata, z zawodem bohatera pomnika związane

Nasi niektórzy rzeźbiarze wymyślili dla pomnika Mickiewicza coś całkiem oryginalnego; zamiast owych figur alegorycznych meztwa, patriotyzmu, nauki, poezyi itp. wprowadzili postacie, utworzone z najwybitniejszych dzieł wieszca, które wszyscy znamy. Naród od razu przylgnął do tej nowości, bo ona więcej odpowiada jego romantycznej wyobraźni; i gdyby nie owa despotyczna zaciekłość klasycznych znawców, walcząca z całym zapałem przeciw romantycznym zachciankom opinii publicznej, jużbyśmy mieli na rynku w Krakowie wspaniały pomnik Mickiewicza.

Jest to jakby nowa wojna klasycyzmu z romantyzmem — w rzeźbie. Owi „z Bożej łaski“ znawcy, zamknięci w swoim kółku, tak są przejęci swoją w dziedzinie sztuki nieomyślnością, że zatracili w sobie tętno ducha narodowe-

go i nie mogą się dopatrzeć rzeczywistej wyobraźni narodowej co do pomnika Mickiewicza. Im chodzi o klasyczne linie, a nie o myśl w dziele rzeźbiarskiem.

Ścisłejszy komitet, z pięciu złożony, do ostatecznego przeprowadzenia budowy pomnika przez zaproszenie do jury osób, odznaczających się znawstwem sztuk pięknych z kilku dzielnic Polski i z różnych warstw społeczeństwa, postąpił sobie rozumnie i sprawiedliwie, ale czynem tym obraził owo grono patentowych znawców krakowskich.

Ponieważ mogliby oni być przegłosowanymi w większym gronie, woleli z niego ustąpić, aby zostawić sobie swobodę do obalenia wyniku jury, gdyby on wypadł nie po ich myśli. I tak się stało.

Sąd, zwołany przez komitet, ściślejszy wydał wyrok, z wielkiem zadowoleniem w całej Polsce przyjęty.

Projekt pomnika, pierwszą nagrodą odnanego, (Cypryana Godebskiego) wyróżniał się monumentalnością i oryginalnością od wszystkich dotąd znanych dla Mickiewicza modeli, i gdyby z pewnymi uzupełnieniami, które zastrzegł sąd, stanął był w Krakowie, byłby prawdziwym dowodem czci dla największego wieszca i świadczyłyby znakomicie o rzeźbiarskiej sztuce w Polsce.

Niestety! ten sam komitet ściślejszy, co zwołał jury do wydania sądu o modelach, unieważnił tegoż wyrok, sam przeprowadził na nowo badanie wartości nadesłanych projektów, i przyznał pierwszeństwo medalowi wcale przez prawnie zebrane jury nienagrodzonemu, a który mu zalecił ów areopag patentowych znawców krakowskich.

Komitet ściślejszy nie był upoważnionym przez nikogo do wydawania sądu pod względem artystycznym i dla tego jego wyrok nie ma prawomocności. Wolno mu było wybrać do wykonania tylko jeden projekt z uwiecznionych nagrodą, a skoro tego nie uczynił, to dał policzek całemu zastępowi poważnych osób, którzy dla wydania wyroku tu zjechali, i zdeptał opinią publiczną, która wyrok prawnego jury z radością powitała.

A że u nas nietylko w sprawie pomnika dla Mickiewicza dzieją się podobne sprzeczności z logiką i poczuciem słuszności, więc możemy się spodziewać, iż się sprawdzi bajka o porodzie myszy przez górę.

Po wyśrubowaniu pojęć o pomniku dla Mickiewicza do jakichś abstrakcyjnych granic — będziemy mieli pomnik najpospolitszy w świecie, jakie tuzinami się ogląda po zagranicznych miastach.

Kto nie zna medalu, przez ściślejszy komitet wyszukanego, niech sobie go wyobrazi w ten sposób. Na zwykłej czworobocznej szafie z gzymsami, wzniesionej na stopniach, stoi w płaszczu młodzieniec, który ma przedstawiać Mickiewicza w młodzieńczym wieku. Z czterech stron tej szafy siedzą figury, jedne w sukniach dawniejszego kroju, drugie w stroju Adamowym i te mają przedstawiać różne alegorye, z których np. wpływ dzieł Mickiewicza na młodzież wyobraża jakaś naga postać, rozłożona nieprzyzwoicie na stopniach piedestału i trzymająca jedną ręką w górę książkę. W podobny sposób drugi nagi chłopak, stojący przed bakalarzem, ma przedstawiać publiczność francuzką, słuchającą naszego wieszca w francuzkim instytucie.

Jeżeli tedy nie znajdzie się dość siły i energii w naszym społeczeństwie, aby ten nieprawny a monstrualny wyrok ściślejszego komitetu krakowskiego unieważnić, to ciesz się, narodzie!... będziesz miał za swoje pieniądze pomnik, wstyd przynoszący obecnemu pokoleniu i znieważający pamięć największego wieszca. Będzie to pomnik „o pięknych liniach klasycznych,“ całkiem nieodpowiadający wyobraźni narodowej, ale bardzo praktyczny. Gdyby się kiedy panującemu obozowi upodobało sprzątnąć Mickiewicza z widowni publicznej, a w jego miejsce postawić inne swoje bożyszcze, łatwo się to da uskuteczyć, bo dolne figury z całym piedestałem zastosują się łatwo do każdego na piętrze lokatora.

Walerj Elias.

Głos z wygnania.

Miałam ci ja nizki dworek z bielonymi ścianą,
Gdzie na gruszy poza płotem siadały bociany.

Ej! nie moje to już wrota i nie moje płoty,
Uwieńczone kwiecistemi powojów uploty.

Nie mój cichy ten ogródek, kędy wiśnie rosną,
Białym kwiatem, niby śniegiem, oblepione wiosną.

Nie moje to już ognisko, nie mój dym z komina,
Co ulatał ponad dachem, niby wstęga sina.

Ej! nie moje te zagony, kłosem falujące,
Ni złociste one jaskry na zielonej łące;

Ani stary ten kościółek, ni dzwony, co biły,
Kiedy trumny rodzicielskie kładziono w mogiły.

Nie mój nawet drobny kęsek tej cmentarnej ziemi,
Choć do gruntu niegdyś łzami przesiąkł sierocemi,

I nie mój ten krzyż omszały na rozstajnej drodze,
Oj! niewiele z ojcowizny zostało niebodze.

Tylko moją ta fujarka z gałązki wierzbowej,
Co wyrosła nad potokiem w pobliżu dąbrowy,

Wykarmiona pieśnią ptasząt i zioł licznych wonią,
Syta dźwięków tych pastuszych, co w powietrzu dzwonią.

Fujareczko, ty wierzbowa, mój skarbie jedyny,
Z tobą zbiegam obce wzgórza i cudze doliny;

Ty mnie wieszysz, druchno wierna, przez ten świat szeroki,
Wydeptany od ćwierć wieku tułaczemi kroki.

Ty z Powiśla, czarodziejko, pogwarzasz mi wieści,
Przypominasz, jak w dąbrowie suchy liść szeleści;

Jak tam kwitną macierzanki, w polu maczek płonie,
Jak rozsiewa bór sosnowy w krąg żywiczne wonie.

Fujareczko, ty mój skarbie cenniejszy nad złoto,
Ty mnie krzepisz, ty z palącą godzisz mnie tęsknotą...

Wyrzucone obie z gniazda na głuche bezdroże,
Idźmy śmiało i wołajmy: „Pomagaj nam, Boże!“

Niechaj zgnile te podmuchy, co tu z bagnisk wiewą,
Nie zatrują nas, nie skłócą z wiarą i z nadzieją;

Niech piosenka, szczerą, żywą, przeczystą i świeżą
Z rosą płynię tam, skąd rodem, na mych wód wybrzeża!...

Seweryna Duchńska.

WILLA ERLACH.

Powieść przez Ossipa Schubina.

Z języka niemieckiego tłumaczyła A. P.

(Ciąg dalszy.)

— I coż potem? — pyta Stella ciekawie.

— Nie pamiętam już wszystkiego; Jan opowiadał mi niegdyś wszystkie te szczegóły z charakterystycznym oburzeniem, ale nie zwracałam na nie wielkiej uwagi. Wiem tylko, że usposobiony romantycznie Edgar nie chciał się rzec baronówny von Föhren, korespondował z nią długo... hm, chciałabym czytać te listy — wreszcie poje-

dykował się z jednym z jej oszczerców i odniósł ciężką ranę. Kiedy po długiej chorobie i rekonwalescencji przyszedł do zdrowia, panna von Föhren wyszła już była za jakiegoś ruskiego księcia, posiadającego miliony, wraz z szumobrzmiającym tytułem.

— Co to za podłość, woła Stella z oburzeniem.

— Mój Boże, kierowała się rozsądkiem, odzywa się Stazya zjadliwie. Gdybym kochała prawdziwie, to posłużyłabym i druciarza, ale dzisiajsze panny myślą inaczej. Nie wstydzą się wcale przyznać, że, idąc za mąż, na pierwszym planie stawiają piękne pomieszkanie, własny ekwipaż, łożę w teatrze i od Worta....

— Ojciec Rohritza, który podobne ożenienie uważał za hańbę dla arystokratycznego swego rodu, postanowił wydziedziczyć Edgara w razie przyjścia do skutku tego małżeństwa. W tym czasie nawinął się książę Obłoński i..

— Książę Obłoński, powtarza Stella z żywością.

Takie było nazwisko jej męża. Obecnie księżna Borysowa Obłońska jest wdową, a zawsze jeszcze porywająco piękna.

— Poznałam ją w Wenecyi, rzekła Stella, na balu u księżnej Giovanelli. Jest cudownie piękną z temi dużemi, martwo przed siebie spoglądającymi oczyma. Po tych słowach zamyśla się głęboko. Dziwny niepokój ogarnął jej serce na wspomnienie tej jedynej miłości Rohritza. „Pozostawał z nią w bliskim stosunku!“... powtarza sobie półgłosem, ale coż to właściwie ma mieć za znaczenie?

ROZDZIAŁ IX.

Uspობajająca do snu cisza popołudniowa unosi się nad willą Erlach. W cienie altance zakwaterowała się Stazya. Jak zwykle zajęta wykwiną robotą, wyszywa na cienkim białym czerwone postacie Chińczyków, lub żółte ich parasole. O kilka kroków od niej siedzi baronowa Meineck, pełniąca dobrowolnie w czasie swego pobytu w Erlach funkcję nauczycielki swego siostrzeńca. Obecnie wyklada mu zadania matematyczne tak trudne i zawikłane, że Fredry pomimo całej ambicji i znacznych zdolności nie może pojąć ani słóweczka.

Stella, w której każde silniejsze wzruszenie objawia się większym, niż zazwyczaj, pociąganiem do muzyki, siedzi sama w salonie, grając: „Stosunek!“ coż to właściwie ma znaczyć „stosunek“ — myśli, leniwo przesuwając palce po klawiszach. Fatalne to pytanie po raz tysięczny powraca jej na usta, przejmując dziwnem uczuciem ciekawości, tęsknoty i obawy.

Nieobjaśniana nigdy w tym względzie przez starsze, doświadczone przyjaciółki, robi rozliczne przypuszczenia w swej skłonnej do marzeń głowie.

Nie może sobie wystawić tego miłosnego stosunku, jak w połączeniu z różnemi scenami balkonowemi, coś w rodzaju Romea i Julii, ze sznurowemi drabinami, narażającymi na niebezpieczeństwo życia. Niewinna jej wyobraźnia zajmuje się tem wspomnieniem, i buja, jak motyl, nad błotnistą kałużą, pod której brudną pokrywą spoczywa na dnie jasny odbłysek słońca i wieniec powiędłych kwiatów. Myśl jej nie może się oderwać od Baden-Baden, które zna z opisów Turgieniewa, a po części i z własnego punktu zapamiętania; owego Baden-Baden, które w tym czasie robiło wrazenie ziemskiego raj, rządzonego przez szatana.

— Może mu w tajemnicy przed drugimi mówiła po imieniu! myśli nieuspokojona Stella.

Serce jej bije gwałtownie. Zdaje jej się, jak gdyby przeczytała jedną kartę zabronionej książki, którą przypadkiem zostawiono. Za nic na świecie nie odwróciłaby tej karty i nie czytała dalej, bo tak u niej, jak i u innych niewinnych dziewcząt ciekawość stacza walkę z nieokreśloną, świętą prawie obawą, kiedy chodzi o zbadanie tajemnic miłości.

— Czy on czuł się bardzo nieszczęśliwym? Zapewne — bo przecież Katty mówiła, że osiwił jedynie z tego miłosnego zawodu. Poczciwem swem sercem lituje się i współczuje na równi z zawiedzionym bohaterem.

— Kochał ją dla jej piękności — dodaje cicho — przywołując sobie na pamięć ów wieczór u księżnej Giovanelli. Przed oczyma jej stoi ta cudownie piękna kobieta, wsparta trochę ociężale na ramieniu tancerza, z głową lekko pochyloną i napół przymkniętymi oczyma. Następnie widziała ją w przepysznym budoarze przed kominkiem, na którym ogień płonął wesoło. Długie rękawiczki leżały obok niej na dywanie, a ona z wysoko podniesionemi, obnażonemi rękoma poprawiała włosy, z głową w tył pochyloną. Przez ramię uśmiechała się do siedzącego na niskim fotelu mężczyzny, w którego ciemnych, długimi rękami ocienionych oczach malowało się gorące uwielbienie, graniczące prawie z zuchwałością. — Tym młodym człowiekiem, ostatnią ofiarą nienasyconej bogini, był czarnooki, włoski książę Lorencino Capito, dobry znajomy i przyjaciel Stelli. Cała Wenecya szeptała sobie na ucho o uwielbieniu włoskiego księcia dla pięknej Kurlandki.

Co za czarów używa ta kobieta, że wszyscy mężczyźni za nią szaleją? i na tę myśl uczucie zazdrości powstaje w niewinnem sercu Stelli. Ach! raz tylko chciałabym zakosztować tej niebezpiecznej trucizny, którą świat nazywa „miłością“! A musi to być coś bardzo pięknego, coś rozkosznego, jak woń wiosennych kwiatów, przyjemna i upajająca zarazem!...

— Och! chciałabym doznać tego szczęścia — chociażby tylko przez jeden dzień w życiu — szepce do siebie półgłosem. Ale.... i łzy zalewają jej oczy — coż ona marzy o szczęściu — dla niej ono już nie istnieje na świecie — bo przecież zgubiła talizman, mający je zapewnić w czasie swej pamiętnej podróży z umierającym ojcem. Biedny, kochany ojczulek! chciał jej szczęście zesłać z nieba, a tymczasem zabrał je z sobą do grobu!....

Rohritz, korzystając z cichego popołudnia, siedzi w swoim pokoju na górze, zajęty pisaniem listu z kwartalnem sprawozdaniem do starszego swego brata. Pisanie jest dla niego rzeczą niezbyt wielkiej wagi, które powoduje jedynie poczucie obowiązku z bezczynnością w parze. Na stole leży teka z różanego drzewa, wspaniały dar jakiejś ciotki Rohritza, opatrzona najroźnorodniejszymi skrytkami i szufladkami, z przyrządami do pisania z kości słoniowej, artystycznie rzeźbionej. Zapisawszy cztery strony, grubego angielskiego papieru równym, czytelnym charakterem, szuka pieczętki do zaklejenia gotowego listu. Przerzucając w szufladkach, wyjął ze zdziwieniem małą, złotą bransoletkę; na cienkim łańcuszku przyczepiona do niej była rznięta z górskiego kryształu, czterolistna koniczyna.

Czyby to była pamiętka od jakiej sentymentalnej przyjaciółki? Nie, przynajmniej sobie żadnej przypomnieć nie może. Więc skąd ta drobnostka jest w jego posiadaniu? Przesuwa ją z ręki na rękę, a promienie słońca błyszczą na złotym kryształ. Naraz dostrzega wyrzniętą na listku cyfrę S., ozdobioną baronowską koroną i mimowoli imię Stella nasuwa mu się na usta. Teraz przypomina sobie, jako przed trzema laty, w końcu kwietnia znalazł tę bransoletkę w rogu aksamitnego fotelu, w wagonie pierwszej klasy. Podał natychmiast ogłoszenia do wszystkich wiedeńskich dzienników, ale napróżno — właścicielka *portebonheur* nie zgłosiła się dotąd. Nagle uderza się dłonią w czoło; przychodzi mu na myśl opowiadanie Leskjewitza o smutnej śmierci barona Meinecka, o jego podróży ze Stellą. Zadowolony ze siebie, z uśmiechem zbliża się do okna. W głębi ogrodu widzi ciągle jeszcze haftującą Stazyą, obok niej baronową, wykładającą silnym głosem zadania matematyczne; słyszy płaczące odpowiedzi Fredzia, a przez otwarte okna dolatują go smętne melodie Kreislerjany. Bez namysłu kieruje się za dźwiękami muzyki i bez szelcetu otwiera drzwi salonu. Okna zacienione są storami, w skutek czego cień i przyjemny chłód panują w obszernym pokoju. W poetycznym półmroku rozróżnia jasną postać, siedzącą przy fortepianie, która przy jego wejściu odwraca swą złotowłosą głowę. Pomimo cieniu

Rohritz nie mógł nie zauważyć, że za jego zbliżeniem szybko ocierała oczy, a teraz wydaje się jeszcze zmieszana.

— Czy pan szukasz kogo, baronie? pyta, przerywając ćwiczenie.

— Szukałem pani, baronówno Stello.

— Mnie? pyta zdziwiona trochę drżącym głosem.

— Tak jest, chciałem pani zadać pytanie, to jest naturalnie, jeżeli nie przeszkadzam w muzyce.

Stella przestaje grać i na okrągłym taburecie obraca się w kierunku Rohritza:

— O co chodzi? pyta przyciszonym głosem, nie patrząc na niego.

— Przed trzema laty znalazłem w wagonie pierwszej klasy tę oto bransoletkę; wyryta na niej cyfra S. naprowadza mnie na wniosek, czy czasem...

Ale Stella nie pozwala mu dokończyć. Śmiertelnie blada, drżąc na całym ciele, wrywa mu bransoletkę z ręki.

— Nie masz pan pojęcia, jak ważną oddałeś mi przysługę, mówi urywaniem głosem, w bezmiernej radości ściskając obiedwie jego ręce.

Oboje zatopieni w rozmowie nie dostrzegli chudej jakiejś postaci, która, wsunawszy się bez szelestu do salonu, natychmiast znowu we drzwiach od ogrodu zniknęła.

W ogrodzie, w wyżej wspomnianej altanie odbyła się tymczasem wiele dramatyczna scena. Nie mogąc pomimo chęci i uwagi zrozumieć matematycznych wykładów baronowej, Freddy upokorzony podobną nieumiejętnością, rozplakał się głośno. Pani Leskjewitz, przestraszona płaczem jedynaka, przybiegła natychmiast zbadać przyczynę. Freddy, zobaczywszy matkę, objął ją w pas silnie rączkami, wołając rozdzierającym głosem:

— Mamusiu, co to ze mnie będzie, kiedy ja nic a nic zrozumieć nie mogę!

Oblicze Katty przybiera bardzo poważny wyraz.

— Proszę Cię, Karolino, nie zajmuj się nadal nauką naszego chłopca, mówi gniewnie, jeżeli to ma być jedyny skutek, jaki Freddy z twoich wykładów odnosi.

— Nie narzucam się też zupełnie, tem więcej, że nigdy jeszcze nie widziałam mniej pojętnego chłopca — była ironiczna odpowiedź.

— Dajesz mi więc do zrozumienia, że Freddy żadnych nie posiada zdolności? dziękuję ci za tę uwagę, ale zarazem zapewniam, że...

Nie wiem do jakiego punktu kulminacyjnego byłyby doszły wywnętrzenia bratowych, gdyby nie Stazyia, która drepcąc nogami i przechylając głowę, nadbiegła w tej chwili:

— Mój Boże! jak się to można omylić na ludziach, woła z wymuszonym śmiechem: — Cicha woda brzegi rwie — ha! ha! ha!...

— Coż ma znaczyć ta „cicha woda?“ pyta Katty z niecierpliwością.

— Hm! Hm! odzywa się Stazyia tajemniczo, grożąc figlarnie palcem na umalowanym nosie, przyczem rzuca znaczące wejrzenie na chłopca, którego rączki zawsze jeszcze obejmują matkę.

— Idź do pokoju, synku, i umyj oczki, to potem pojedziemy razem na przechadzkę, mówi Katty.

— Więc co się stało? pyta po odejściu chłopca zupełnie zmienionym, ostrym głosem.

— Rohritz... ha! ha! ha! — myśmy go mieli wszyscy za wystygłą lawę — opowiada złośliwa, stara panna; nawet ja, która zwykle od innych mężczyzn z daleka się trzymam, z Edgarem żartowałam czasem, wyświadczałam mu rozmaite drobne oznaki uprzejmości, mając go za zupełnie nie niebezpiecznego. Tymczasem przed chwilą właśnie widzę go *tête à tête* ze Stellą w żółtym salonie: oczy Edgara zapatrzone są w marżec jej wejrzenie; jej ręce spoczywają w jego dłoniach... była to flirtacja, flirtacja *à l'Américaine*, przechodząca wszelkie granice przyzwoitości, niebezpieczna dla...

— Jeżeli podobne zajście uważałaś dla Stelli za coś

niebezpiecznego, dla czego więc nie przerwałaś tego *tête à tête*? pyta Katty gniewnie.

— To nie moja rzecz, odpiera Stazyia złośliwie, nie mogłam zresztą przewidzieć, czy nie przeszkodziłabym zaręczynom. Wprawdzie Rohritz jest za ostrożny, aby popełnić podobne głupstwo, chociażby nawet pocałował chętnie wysuniętą rączkę.

Baronowa, nie wysłuchawszy końca opowiadania, z błyszczącymi od gniewu oczyma staje we drzwiach salonu.

— Stello! co robisz tutaj, czy nie masz innego zajęcia? Chodź do mnie na górę.

Z bijącym sercem postępuje Stella za matką do przeznaczonego dla nich pokoju. Baronowa z trzaskiem zamyka drzwi i chwytając Stellę za rękę, woła stłumionym od gniewu głosem.

— Czy mogłam się tego spodziewać, że się za swoje córkę w obcym domu wstydzić będę musiała? Nieznane mi prawie osoby donoszą mi ciągle, jak bezwstydnej używasz kokiety, jak całe popołudnia spędzasz na flirtowaniu *à l'américaine* z młodymi ludźmi.

— Czy to o mnie mówisz, matko? woła Stella, patrząc na rozgniewaną kobietę wystraszonemi oczyma — ależ zapewniam cię, że nie... Matko, jak możesz myśleć nawet coś podobnego; to zapewne Stazyia oskarżyła mnie przed tobą... nie wiem, jak możesz wierzyć jej słowom, kończy z gwałtownem łkaniem.

— Uwagi Stazyi nie mnie nie obchodzą; w każdym razie obejście i ułożenie twoje jest rażącym.

— Ależ mamu, proszę cię!...

— Więc dla czego pozwalasz młodym ludziom na rozmaite *tête à tête* z sobą — woła doprowadzona do wściekłości ta sama baronowa, co trzy razy tygodniowo córce samej do Pragi jeździć pozwalala.

— Jest to największą nieprzyzwoitością i nie wiem, co sobie Rohritz o tobie pomyśli. Widzę, że na nieszczęście stajesz się coraz więcej do tej ciotki Eugenii podobną.

ROZDZIAŁ X.

Że postępowanie Stelli jest niestosownem, niekiedy nawet rażącym, nie podlega kwestyi; jednakże przy jej prostocie i uroku, jaki na wszystkich wywiera, podobne przestąpienie konwenansów niewiele ma znaczenia. Baronowa, nie dbając bardzo o wychowanie córek, nie dostrzega nigdy sama podobnych usterek, dopiero kiedy ktoś z obcych zwróci jej na to uwagę, czuje się głęboko zranioną w swej dumie macierzyńskiej i cały grad wyrzutów spada na niewinną główkę Stelli, kończąc się zawsze tym samym frazesem:

— Stajesz się coraz więcej do swej ciotki Eugenii podobną.

Znaczenia tych słów Stella odgadnąć nie może, nie znając najmniejszych szczegółów z życia siostry ojca — to też przeczuwa coś okropnego. Po podobnych scenach czuje się onieśmiałoną, nieszczęśliwą, przygnębiającą, jakby po dokonanej zbrodni; powoli dopiero wraca jej dawne, wesołe usposobienie, bez troski o jutro.

Niekrepowane jej obejście względem Rohritza zmieniło się zupełnie pod wpływem ostatnich uwag matki. Unika go widocznie, w rozmowie z nim jest sztywną, odpowiada jedynie półsłówkami, tak, że Rohritz zdziwiony, pyta rotmistrza o powód tej nagłej zmiany.

— Nie jest to właściwie wielkim szczęściem, objaśnia go pan Leskjewitz, być córką mojej siostry. Biedna Stella przypomina mi zawsze szlachetnego, rasowego konia w rękach lichego jeźdźca. Nie mogę dłużej patrzeć na te męczarnie i z całego serca życzyłbym sobie jakiego porządnego człowieka, któryby ją na zawsze z rąk matki uwolnił, nimby się zupełnie popsuła. Mąż mojej siostrzenicy musiałby być delikatnym, sercowym człowiekiem, ze silną wolą, a nadto zamożnym, bo Stella posiada, niestety! bardzo mały mająteczek, *et voilà tout*.

ROZDZIAŁ XI.

Nigdy czas przedziej nie schodzi, jak podczas letnich miesięcy; z łagodnym pospiechem płyną piękne dni czerwcowe — jeden za drugim — w przepysznych, zielonych sukienkach, pod pogodnym nieba błękitem. Boginie lata rzucają nam różnobarwne kwiaty pod nogi, rosą zwilżając trawy. Otaczają nas szerokiem kołem i trzymając szczęście w rękach, szepcą przymilajaco: „pochwyć to szczęście, kiedy możesz, kiedy się zdarza sposobność.“ Niejeden z nas byłby po ten dar wyciągnął ręce, ale ma je spętane; inni przypominają sobie, jak niegdyś w podobnych lipcowych dniach ręce z tęsknotą po róże wyciągali, ale za dotknięciem aksamitne kwiaty opadły i w ręku pozostały nagie, kłujące ciernie, zawiedzione nadzieje. Inni inaczej obchodzą się ze szczęściem: zapatrują się na nie krytycznie, wahają się... wolać czas jakiś czekać... Tymczasem nastają jesienne burze i szczęście odlatą wraz z ulatującym uschłym liściem drzew i kwiatów. Słońce pobladło, błękit nieba przybrał szarawą barwę, a zimny wiatr świszczy szydlerczo: „minęły dni szczęścia, minęły może... bezpowrotnie!“

Tydzień — dwa tygodnie upłynęły od przyjazdu Meinecków do willi Erlach. Z dniem każdym Stella więcej podobała się Rohritzowi, codziennie oddawał jej drobne, grzeczne usługi, ale w rzeczy samej nie posunął się dalej.

Dziś przypadają urodziny Fredzia; Stella obdarzyła go wielkiem pudłem wodnych farb, reszta towarzystwa i rodzice wszelkiego rodzaju zabawkami; nadto ci ostatni *in gratiam* urodzin pieczą go i psują więcej, niż zazwyczaj, ale radość solenizanta nie zna granic na wiadomość o projektowanej wycieczce w dalszą okolicę. Nikt z obecnych nie przepada się za podobną zabawą, a najmniej sama Katty dla zmużnych przygotowań; lecz Freddy tak bardzo lubi improwizowane majówki, że matka nie miałaby serca pozbawić go tej przyjemności.

Urodziny przypadły właśnie w niedzielę; przez otwarte okna jadalnego pokoju widać postrojone wieśniaczki, z poważnym obliczem idące do kościoła — lekki wietrzyk przynosi na swych skrzydłach dźwięki dzwonów, zwołujące pobożnych na modlitwę. Na ciemno-szafirowem niebie przesuwały się gromady śnieżnych obłoczków; roje drobnych pszczołek i owadów krążą nad miesięcznymi różami i kłębami z heliotropów i rezedy. Orzeźwiona nocnym deszczem przyroda przybrała odświętną postać; słońce świeci jasno, pali nawet złotymi swemi promieniami, ale barometr, niestety! opada, jak to oznajmia Rohritz zebranemu przy wykwintnym śniadaniu towarzystwu.

Twarzyczka Fredzia przybiera smutny wyraz:

— Barometr pański jest nieznośny! — mówi Katty z ożywieniem; — nie ma najmniejszej ochoty psuć dziecku przyjemności dla tak niepewnego prognostyku.

— Tak, Edgarze! twój barometr nie zna się na rzeczy, potwierdza rotmistrz z komiczną powagą.

„Nie znać się na rzeczy“ znaczy w oczach kobiet to samo, co wypowiedzieć nieprzyjemną prawdę.

Katty, wyszedłszy na taras, przekonuje się o pięknej pogodzie, za co tak niefortunnie ostrzegającemu Rohritzowi piorunujące spojrzenie przypada w udziale. W tej chwili służący wnosi drugi półmisek świeżo upieczonych migdałowych ciastek i pani Leskjewitz wydaje rozkaz natychmiastowego zaprzągania koni.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Wygnańcy.

Obrazek sceniczny.

(Dokończenie.)

SCENA VI. WINNICKI I ZOFIA.

WINNICKI.

Lat 28, wąs ciemny.

(*Wchodzi środkowemi drzwiami, rzucając kapelusz na krzesło. Zofia, spostrzegłszy go, przybiera poważną postawę.*)

Wybacz mi, aniele mój drogi, że tak długo nie dałem znaku życia o sobie. Tydzień przeszło uleciał, jak raz ostatni przestąpiłem ten próg, za którym znajduje się moje jedyne szczęście, mój skarb cały... Nie miałem czasu, wierzaj mi. Ważne sprawy ani na chwilę nie dozwoliły urzeczywistnić najmilszego pragnienia: zobaczyć cię i ucałować te drogie rączki... (*Całuje ją w rękę — patrzy jej w oczy, poczem mówi z trwogą*): Na Boga! co to jest? Ręka twoja drży, tyś blada, oczy zapłakane, twarz cała zmieniona... Zofio!... Na miłość Boga! co to wszystko znaczy? Och! powiedz, co się tu stało, co jest przyczyną twego smutku... Ty milczysz?! pomieszana i drżąca... Zofio najdroższa, nie zostawiaj mnie dłużej w niepewności... Ten stan, w jakim się obecnie znajdujesz...

ZOFIA.

To nic!... to nic!... (*po krótkim namyśle*): Ciocia zachorowała...

WINNICKI.

I to ma być jedyny powód twojego smutku? Lecz słowa twoje jakoby wymuszone, postawa chwiejna zdradza inną przyczynę, której dociec próżno się silę. Tyś zawsze taka wesoła, na ustach twoich igrał uśmiech czarowny, co rajem wnikał do mojej duszy, oczy twe błyszczały, jak szafiry, jak dwie gwiazdki złote na pogodnem niebie, a dziś tak się zmieniłaś i zarazem zubożniałaś dla mnie... Zofio! aniele mój najdroższy, błagam cię, wyznaj, co jest powodem tej zmiany, która mnie trwożnem przejmuje przecuciem.

ZOFIA.

Więc mi nie wierzysz?...

WINNICKI.

O! wierzę, już wierzę ci, Zofio! Ale nie pojmuję, dla czego oddajesz się rozpacz i niepotrzebnie zatruwasz sobie życie?... Choroba może minąć, ciotka wyzdrowieje, pociż więc zawczasu ronić lzy daremne i uprzedzać wypadki. Zresztą, gdyby przecucie twoje, co nie daj, Boże, sprawdzić się miało, Zofio, ty nie zostaniesz sierotą... Oprócz ojca jedno jeszcze dla ciebie bije serce, które ci wszelką powetuje stratę. — Och! tak, ja cię kocham, ja cię ubóstwiam... Ty jedna stałaś się dla mnie czarownym światkiem, ty mi niebo otwierasz, tyś moim aniołem, zgoła wszystkim, co zachwyca mój umysł i serce, co czyni ze mnie istotę zdolną do wszelkich poświęceń... Och! tak, Zofio... ty musisz być moją i ja cię nie opuszczę... samotność twoją osłodzę, drogę życia różami zaściele, twój smutek ukoję... Miłość nasza będzie wieczna i niezmienna, lecz powiedz, że mnie kochasz, o! powiedz... Niechże z ust twoich choć raz usłyszę to słowo, którem od tak dawna w marzeniu się pieczę, na którego wspomnienie nadziemski rozkosz wnika do mej duszy... Powiedz... Tak długo uczucia swe tłumiłem, lecz dłużej milczeć nie mogę; powiedz, żeś mi wzajemną, że mnie również kochasz... Tego jednego tylko żądam słowa; starczy mi ono za wszystko, za światy całe...

ZOFIA (*drżącym głosem*):

Czesławie, przestań... Słowa twoje nowe sprawiają mi katusze (*przykładając rękę do piersi*), rozrywają serce i stokroć nieszczęśliwszą mnie czynią... Mówisz, że mnie kochasz...

WINNICKI.

Och! tak, Zofio, całym uczuciem mego serca... o! powiedz, że mi jesteś wzajemną...

ZOFIA.

(*Zmieszana — na stronie*):

Boże! winnam wyznać mu wszystko... (*Głośno*): Czesławie! Ty wiesz najlepiej, jaką odpowiedź serce moje dać może... Lecz zabiegi twoje... (*chwieje się*.)

WINNICKI.

Ha! rozumiem... odpychasz mnie... może kochasz innego i dla tego na wszelkie moje zakłęcia żadnego nie masz współczucia... Dobrze! żyj szczęśliwa... (*odwraca się i przyciska ręką czoło*.)

ZOFIA (*składając ręce*):

Czesławie! przez litość, wysłuchaj, a dowiesz się wszystkiego. Jesteśmy wygnancami!... (*zakrywa sobie twarz rękoma*.)

WINNICKI.

(*Czyni krok naprzód, potem cofa się*.)

Boże!... co ja słyszę... (*chwila milczenia*.) Ty wygnanką... (*chwila milczenia*.) Teraz dopiero pojmuje, co to wszystko ma znaczyć... co znaczy ten smutek, te łzy, które wylewasz... (*na stronie*): Boże! myśl moja się błąka... (*do Zofii*): Lecz dla czego tałaś przede mną rzeczywistą przyczynę twej boleści? Czy sądzisz, że z chwilą wyjawienia mi prawdy los twój stanie się dla mnie obojętnym, że zapomnę o tobie, że uczucia i nadzieje moje rozwieją się na zawsze pod wrażeniem tego przekłętogo nakazu?... Och! nie, Zofio, żadna siła nie zdoła rozerwać węzłów, co serce moje z twojem na wieki złączyły, ani stłumić przywiązania ku tobie... Ja los twój podzielię, dla ciebie wszystko poświęcę... i będziemy szczęśliwi...

ZOFIA.

Czesławie! To zbyt wielka ofiara, której od ciebie przyjąć nie mogę, na którą nie zasłużyłam... Ty tu zostaniesz... Ja pójdę, wygnana, w świat daleki, zapomniana od wszystkich... Ciebie wzywają tu obowiązki, od których dobrowolnie usuwać się nie masz prawa... Ty będziesz tu szczęśliwy, a ja... (*placze*.)

WINNICKI

Nie płacz, Zofio, dosyć już łez, które niezasłużenie wylewasz i cierpień, które ponosisz... Ja losem waszym się zajmę, i — jeśli tu pozostać w żaden sposób nie możecie, razem pójdziemy w świat daleki, a żadna już troska ani łąza na twojem nie postanie licu... A może... może kiedyś znowu wrócimy tu szczęśliwi... Ty będziesz moim dobrym aniołem, jak jasne słońce przyświecać mi będziesz na drodze ziemskiego żywota... Widząc cię tak opuszczoną, tak smutną, Zofio, milion razy więcej — jeśli to w ogóle być może — kocham cię dzisiaj, lecz słowa me określić nie zdołają, co serce w tej chwili odczuwa... Zofio! Ty będziesz moją... ty będziesz mi wzajemną, nieprawdaż?...

ZOFIA.

Tak!... jestem twoją na wieki!... (*podaje mu rękę*.)

WINNICKI.

(*Chwyta jej rękę i przyciska do ust*.)

Nieba! Zofio! Więc ty już moją... Och! jakże jestem szczęśliwy... Ty moją na wieki!... i tak spełniły się wreszcie sny moje złote, moje marzenia o tobie... Bez ciebie świat wydawał mi się pustym, serce dręczyła tęsknota... z tą chwilą wszystko zapomniane... już cię

posiadam, już szczęścia naszego nie zamącić nie zdoła — rozkosznie przejdziemy przez życie... O! ty moją, Zofio, jakże się czuję szczęśliwym!... mam przyrzeczenie, którego za żadne nie oddałbym skarby tego świata... Jutro tu przybędę, och! tak, przybędę znowu do ciebie, drogi aniele, wygotujemy plan podróży...

SCENA VII.

RUTOWSKI. WINNICKI. ZOFIA.

RUTOWSKI.

(*Wchodzi środkowemi drzwiami*.)

A!... pan Czesław... Co tylko wspominaliśmy pana, nie myśląc, że tak prędko się zobaczymy...

WINNICKI.

Trapiony złowrogą myślą, przyszedłem i, niestety! przekonałem się, że przeczucie mnie nie myliło... Dowiedziałem się o wszystkim i od tej chwili ból i smutek wasz stał się także moim udziałem... Wierzaj mi, szanowny panie, że gdyby ów wyrok nieludzki cofnąć można i odwrócić jego smutne następstwa, ani na chwilę nie ważyłbym się całe moje mienie, a nawet i życie dla was poświęcić...

RUTOWSKI (*Ściskając mu rękę*).

Zacny panie Czesławie! Takiej ofiary ani pragnąć, ani przyjąć nie mogę... Ale jest wielką ulgą dla serca mego, że są jeszcze na ziemi istoty, co tak szlachetnie, bezinteresownie, jak pan, wszystko gotowe poświęcić dla dobra nieszczęśliwych.

WINNICKI.

Panie! dozwól, niech serce raz jeszcze otwarcie wypowie, co czuje, a co od dawna już znanem ci było. Kocham pannę Zofią całą siłą i potęgą uczucia... pragnę z nią dzielić trudy życia, dla niej jedynie pracować i stać się godnym jej szacunku i miłości. (*Rutowski patrzy na córkę, która stoi w niemem zamysłieniu*). Od ciebie, panie, zależy całe szczęście mego życia; choć wprowadzie dałeś mi dawniej słowo, że Zofia będzie moją, ale teraz w jej obecności, mając już jej przyzwolenie, błagam cię raz jeszcze... daj mi tego anioła.

SCENA VIII.

Ci sami i GROCHOWSKA.

GROCHOWSKA (*wchodzi bocznemi drzwiami*)

Witam pana, panie Czesławie — jakże mnie cieszy, że pan przybyłeś, przed chwilą mówiliśmy o panu. (*Winnicki całuje jej rękę*)

WINNICKI.

Dzięki pani — błogie przejmuję mnie uczucie, że stałem się godnym pamięci państwa.

RUTOWSKI.

Możesz pan być najpewniejszym, że imie pańskie w największym było u nas szacunku. Postępowaniem szlachetnym i pięknymi przymiotami swego serca zaskarbiłeś sobie miłość nas wszystkich. Pokochaliśmy cię i nigdy nie wątpiliśmy o uczciwości twoich słów i zamiarów, dla tego też, skoro masz już słowo Zofii, i ja z swej strony błogosławię wam; (*Rutowski łączy ręce Czesława i Zofii, którzy klękają przed nim*) niechaj Bóg, drogie dzieci, czuwa nad wami, niech błogosławieństwo Jego nigdy was nie opuszcza.

GROCHOWSKA (*zbliżając się do klęczących*)

I ja, jako przybrana matka Zofii, błogosławię was, obyście prawdziwe szczęście znaleźli w tem połączeniu.

P o z n a ń, w marcu, 1888 r.

Władysław Z.

Jak żywić niemowlęta i dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 13.)

Przy pomocy mikroskopu wykryto już, jak to powyżej wspomnieliśmy, laseczniki, czyli t. n. baylle, powodujące ścinanie się mleka krowiego i laseczniki suchotnicze; a liczni badacze śledzą obecnie w niem chorobotwórcze grzybki, powodujące płonicę (scarlatina), błonicę (diphtheria), a nawet i dur (typhus), stwierdzono bowiem, iż choroby te w naczyńiach z mlekiem z miejsca na miejsce i na osoby niem karmione przenosić się dają. Spostrzeżenia takie porobili lekarze różnych narodowości.

Technik Karol Bertling, w Berlinie mieszkający*), podał do oceny lekarzom przyrząd swój, mający na celu wytępienie i zniszczenie w mleku owych chorobotwórczych ustroj, co przez długie jego gotowanie, przy wysokiej temperaturze, ma się skutecznici. Aparat ten, z początku wyłącznie do gotowania mleka dla niemowląt i dzieci przeznaczony, składający się z dwóch garnków, górnego szerszego i dolnego węższego, opatrzony w pokrywę, szczelnie za pomocą śrub przytwierdzić się dająca, wyposażoną w podwójnie zagiętą cewkę, w wentyl i t. d., nie będzie tu przedmiotem dalszego opisu, który nawet i przy pomocy dobrej ryciny nie bardzo wypadła dokładnie. Wspomniemy tylko, że jest patentowanym w Niemczech i Anglii i wielu poważnych ma zwolenników. Prof. E. Klebs w Pradze, Dr. Baginsky, Dr. J. Albu w Berlinie i inni wysoko podnoszą jego zalety. Nie ulega wątpliwości, że wszelkie grzybki i zaczynniki w mleku, sposobem Bertlinga — i to przy temperaturze 120° Celsjusza — gotowaniem, uleżą zniszczeniu. Oprócz tego doniosłego wyniku są jeszcze i inne. Mleko, w aparacie Bertlinga przez 20—40 minut gotowane, nie przypala się, nabiera miłego smaku, daje się przechować przez cały tydzień bez zwarzenia się — a co najważniejsza dla niemowląt i dzieci, ponieważ sernik mleka krowiego staje się po owym długim gotowaniu łąa t w i e j s t r a w n y m, to też i ono staje się przez to do niewieściego mleka podobniejszym. Dr. J. Albu**) rozpiisał się o przyrządzie tym obszernie w rozprawie, w latach ostatnich w Berlinie wydanej, i podał jako wynik swych spostrzeżeń nad doniosłością tego sposobu przyrządzania i zachowywania mleka, iż aparat Bertlinga posiadać powinna każda rodzina, mająca niemowlęta i dzieci, które po odłączeniu od piersi, tylko mlekiem w powyższy sposób zabezpieczonem żywić wypadają. Mleko takie traci przy owym długim gotowaniu prawie 10% wody, którą następnie, stosownie do wieku niemowlęcia, lub dziecka, rozrzedzić klejkiem lub gorącą wodą winniśmy. Cena przyrządu Bertlinga wynosi od 9—23 grzywien, i służyć może przez długie lata, jeśli troskliwie z nim obchodzić się będziemy.

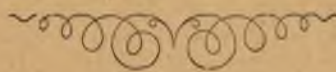
Mniej skomplikowanym, znacznie tańszym***), a mającym równie na oku tak długie gotowanie mleka i wyniszczenie w niem grzybków, ochronienie od przypalenia i wykipienia, wreszcie i przeistoczenie sernika, jest prosty i pojejdynczy aparat prof. Soltmanna z Wrocławia.

Przyrząd ten, tylko z dwóch w siebie wsuwających się blaszanych cylindrów się składający, wstawić można

w jakibądź garnek, do połowy mlekiem nalany. Cylinder dolny zaopatrzony jest w podstawkę, z boku w trzech miejscach wyżłobioną, którą to drogą gotujące się mleko do jego środka się dostaje. Cylinder górny, na dolny wsunięty, ma daszek, a pod tymże trzy rurki, które mleko gotujące i ze środka cylindra do góry wstępujące, napowrót do garnka spływa. Owe trzy rurki, obok daszka górnego cylindra umieszczone, ustawia się zaraz na wstępie, przed zagotowaniem się mleka, na wysokości brzoza garnka i to po prostu przez posunięcie do góry, lub na dół, stosownie do wysokości i głębokości wybranego na ten cel garnka.

Mleko, w garnku kamiennym na ogniu zwykłym kuchni angielskiej postawione, poczyna się gotować w 15—20 minut, dostaje się w środek gorącego cylindra, unosi aż do daszka i spływa na dół przez owe trzy rurki do garnka, lub do podstawionych butelek. Gotowane w ten sposób przez 15—20 minut mleko takie gęstnieje, nabiera miłego smaku, przeistacza znacznie swój sernik i traci zawarte w niem drobnowidzowe ustroje. Oprócz owych od dość dawna znanych mi już trzech aparatów Soxhleta, Bertlinga, Soltmanna, doświadczałem także jeszcze aparatu Dra Hartmanna, w ostatnim czasie do gotowania mleka dla niemowląt i dzieci mi poleconego. Główną zaletą jego jest tylko to, iż mleko choć bardzo długo gotowane, w żaden sposób przypalić się nie może, bo cały proces gotowania odbywa się w gorącej wodzie, w którą aparat Hartmanna wstawić trzeba. Przyrządu tego używać można z korzyścią dla starszych dzieci, gdy o zgotowanie im zupki z mleka, znanego z dobroci i czystości, bez przypalenia chodzić będzie, co tak łatwo i często wydarzać się zwykło. Aparat ten nie wypełnia zdaniem mojem zupełnie zadania swego, dotyczącego zniszczenia mikroorganizmów, na co przy dostarczaniu mleka dla niemowląt i dzieci, zwłaszcza w porze letniej, tak baczna zwracać winniśmy uwagę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaiteści.

Na świeżo rozstrzygniętym konkursie powieściowym „Kuryera warszawskiego“ drugą nagrodę w ilości 500 rs. otrzymała powieść „Dewajtis“ młodej, utalentowanej autorki, panny Rodziejewiczówny. Nagrodzona powieść ukaże się wkrótce w odcinku „Kuryera.“

Nakładem Gebetnera i Wolfa wyszedł świeżo w Warszawie zeszyt II i III „Wizerunków książąt i królów polskich“ z 39 rycinami Pillati'ego. Oba zeszyty obejmują historią narodu naszego od Kazimirza Sprawiedliwego do Aleksandra, pióra św. p. J. I. Kraszewskiego. Eleganckie i użyteczne to wydawnictwo może stać się cenną ozdobą każdej domowej biblioteki.

Do nowości w beletryście polskiej należą: „Sylwetki i szkice literackie“ Maryana Gawalewicz z a. Nakład J. K. Żupańskiego i Heumana. — „Nowoczesni bohaterowie“ Juliana Łętowskiego. Nakład Gebetnera i Wolfa. — „Światła i cienie; zbiór nowel i poezji.“ Nakład nowej warszawskiej spółki wydawniczej. Ze znanych w piśmiennictwie imion występują tu: Konopnicka, Marzenowa, Gawalewicz i Dygasiński.

„Jerzy Bizet, jego dzieła i życie.“ Pod tym tytułem wydał w Rzymie znany krytyk, M a s t r i g l i, dziełko, poświęcone twórcy „Carmeny“, w którym podaje mnóstwo ciekawych szczegółów i trafnych poglądów na twórczość Bizeta.

*) C. Bertling, Fabrik, Lager und Comtoir Berlin S. W. Wasserthorstrasse 27.

**) Dr. J. Albu, pract. Arzt. Verlag von R. Damkoehler. N. Berlin. Beschaffung guter Milch zur Ernährung und Gesunderhaltung der Kinder, sowie zur Verhütung der grossen Kindersterblichkeit in Städten.

***) Prof. Dr. Soltmann'scher Original-Milchkocher. Nabyć go można w Wrocławiu u Gustawa Hoffmanna Friedr.-Wilh. Str. 73 i w Poznaniu u H. Wilczyńskiego Rynek 55 za 1,25 m.

W r. 1876 grono literatów i dziennikarzy obchodziło uroczyste jubileusz półwiekowej pracy zasłużonego zbieracza klechd, pieśni, przysłowiów, wspomnień przeszłości, św. p. Kaz. Wład. Wojcieckiego, w Warszawie, w tej samej sali resursy obywatelskiej, w której 20 kwietnia r. b. odbył się wieczor deklamacyjno-muzyczny w celu udzielenia materialnej pomocy pozostałej po nim sędziwej wdowie, która w ostatnim czasie znalazła się w nader smutnem i ciężkiem położeniu. Koncert, w którym główny udział wzięli panowie: Seideman, Śliwiński; panie: Popiel-Święcka, Szlezycierówna i towarzystwo „Lutnia“ wypadł świetnie i przyniósł pożądane rezultaty. Urządzeniem zajęli się z całą gorliwością panowie-literaci: Adam Pług i Marian Gawalewicz.

Ostatnim obrazem Franciszka Żmurki jest „Demon.“ Znany artysta i zarazem krytyk, p. Wojciech Gerson, pisze o tym obrazie, że twórca jego założył sobie w „Demonie“ uwydatnić najpospolitszą wadę pięknej kobiety — z a l o t n o ś ć, tymczasem nadał jej zaledwie wyraz żartu, czy psoty. „Kto w tej postaci widzi więcej, to widzi chyba swoje własne uczucia, jak w odgłosie dzwonów słyszy się to, co słyszeć pragniemy.“ Pod względem zewnętrznym — mówi dalej krytyk — uderza to malowidło blaskiem talentu, ale zarazem zaniedbaniem rysunkowym, którego nawet piękny i prawdziwy w niektórych częściach, a świetny w ogóle kolor ciała pokryć, ani usprawnić nie może. Według zwyczaju nowy ten utwor p. Żmurki wywołał najrozmaitszy sąd i krytykę. Najostrzej, najnieogłędniej rozpisał się o nim p. Sygietyński w „Przeglądzie tygodniowym“, w skutek czego przyszło do przykrych zajęć między twórcą „Demona“, a sprawozdawcą „Przeglądu“, jak o tem obszernie donosi „Dziennikowi pozn.“ jego warszawski korespondent w num. czwartkowym 108, dokąd też Szanownych Czytelników odśleamy.

Józio Hofman powrócił wreszcie po wielu wycieczkach artystycznych do Warszawy i według zapewnień ojca swego, p. Kazimierza Hofmana, przez 5 lat koncertować nie będzie, aby spokojnie mózdz kształcić się w muzyce. Profesorem utalentowanego chłopca będzie p. d' Albert, a po dostatecznem przysposobieniu ma ojciec udać się z nim do Brahms'a.

Ostatni numer „Kłosów“ podaje reprodukcją portretu panny Anny Bilińskiej, utalentowanej artystki-malarki, wykonanego przez nią samą i uwieńczonego trzecim złotym medalem na przeszłorocznej wystawie w „Salonie“ paryżkim. — P. Anna Bilińska urodziła się r. 1857 w guberni kijowskiej. Pierwszym jej profesorem malarstwa był Wojciech Gerson w Warszawie; w Paryżu zaś dokonali kształcenia świetnego jej talentu pp. Tony Robert, Fleury i Bouquereau. Do najświeższych prac naszej artystki, które pozyskały w wysokim stopniu uznanie recenzentów paryżkich, należą: „Portret murzynki“, „Portret młodej kobiety“, „Szkic przedśmiertny Bohdana Zaleskiego“ i akwarela: „Trzy wieśniaczki litewskie.“

W Rzymie, na *Via nazionale*, w pałacu sztuk pięknych wystawiono pięć ostatnich projektów na pomnik dla Wiktora Emanuela. Ma on być wzniesiony na wzgórzu Kapitolińskiem.

W pałacach paryżkich, Louvre i Luxemburg, wynosi liczbą dzieł sztuki 2,557.

Promyki.

Najłatwiejsza rzecz staje się trudną, kiedy ją się wykonywa ze wstrętem. Wykonywajmy więc chętnie i ochoczo prace nasze, obowiązki i zadania, a dokonamy ich łatwo, szybko i dobrze.

Przed odezwaniem się pomyśl zawsze, choć chwilę, nad tem, co masz wyrzec.

W interesach największą zręcznością jest uczciwość.

Postępować, mówić, ubierać się stosownie do swego stanu i wieku jest to najpewniejszy sposób nie być nigdy śmiesznym, wyśmianym, lub poniżonym.

Cycero wyrzekł: „Bronście zdań waszych i przekonań z zapalem, ale nigdy z gniewem.“ — W rzeczy samej przekonanie jest córką łagodności.

Odwagi potrzeba, aby zapytać: Co cię boli? — Potrzeba miłości, aby, nie spytawszy, odgadnąć mękę.

Miłość jest religią serca; kto często odmienia bożyszcze swoje, ten jest apostatą, albo poganinem.

Choćby twa dusza była spragniona i głodna,
Żadnej czary rozkoszy nie wychylaj do dna,
Ażeby z upragnionej nie zrobić przekłetej,
Bo na dnie każdej czary jest gorycz, są męty!...
(Kraszewski).

Jeśli troski dojmą w życiu,
Lub cierpienie schmurzy czoło,
Wtedy zapłacz — lecz w ukryciu —
A na ludzi patrz wesoło.
Bądź wesoła, choćby kiedy
Łza źrenicę rosić miała,
Bo Bóg różne zseła biedy,
Ale zawsze dobrze działa.

(W. Ch.)

Logogryf

(ułożyła Janina K. z Pł.)

Sylaby:

a, a, ad, ba, ban, cie, cho, da, dał, das, e, e, flan, gieł, go, gud, ił, in, jów, la, lek, ma, me, mi, mi, non, now, ny, o, o, pa, pi, pol, ra, raj, rał, ro, ro, stro, so, tar, te, to, tus, ty, ty, um, we, za.

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w ziemi chełmskiej. — 2. Dowódzca floty. — 3. Rzeczka w Krakowskiem. — 4. Generał polski. — 5. Prowincya polska. — 6. Bohater, wódz i twórca potęgi tebańskiej. — 7. Księgi kościelne żydowskie. — 8. Miasto w Sandomierskiem. — 9. Znakomita rodzina rosyjska. — 10. Cesarz rzymski. — 11. Miasto greckie. — 12. Jeździec. — 13. Odgłos. — 14. Ziele. — 15. Bohater tragedyi Szekspira. — 16. Narkotyk. — 17. Drzewo. — 18. Herb polski.

Początkowe głoski, czytane z góry na dół, dają tytuły dwóch dzieł polskiego autora, k o n c o w e, w tym samym czytane porządku, jego imie i nazwisko.

Dwa pierwsze dobre rozwiązania z miasta i prowincyi otrzymują nagrodę.

TREŚĆ: O pomniku dla Mickiewicza. Walery Eljasz. — Głos z wygnania. (Wiersz). Seweryna Duchńska. — Willa Erlach. Powieść przez Ossipa Schubina. Z języka niemieckiego tłomaczyła A. P. (Ciąg dalszy nastąpi.) — Wygnańcy. Obrazek sceniczny. Władysław Z. (Dokończenie). — Jak żywić niemowlęta i dzieci napisał Dr. Józef Koszutski. c. d. n.) — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości. — Promyki. — Logogryf.